ROK CZWARTY.

№ 30.

WARSZAWA

d. 12 (24) lipca

1859.

Niedziela

6ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15, Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! zastępów, którego jest wszystko, co jest najlepszem, zaszczep w sercach naszych miłość Imienia twego i racz dochować w nas bogobojności pomnożenie, iżbyś dobre rzeczy zasilał, a usilnością swéj dobroci strzegł, które już są zasilone. (Kollekta na Niedzielę 6tą po Świątkach).

O dawnej pobożności w Polsce.

—

Niegdyś wśród cnót jaśniejących u nas, jednąz najwydatniejszych była pobożność. Cały naród tchnął szczególnem nabożeństwem, do którego wiodły go przykłady starszych, wiodły matki, zapalając młodociane serduszka dziatek swoich świętą miłością Stwórcy; wiedli ojcowie bogobojni, przekazując synom testamentem, jako najszacowniejszą spuściznę, pobożną książkę. Taki nam przykład zostawił Symeon Lubartowicz Sapieha, który w ostatniej woli swojej zostawia synowi *modlitwy*, z poleceniem, aby umierając, toż dziedzictwo synowi swojemu przekazał.

I pobożne prababki nasze dawały z siebie w tym razie budujące przykłady; w domowem zaciszu poczynały one dzień od modlitwy. Naprzód wstawszy rano, odmawiały litanię do wszystkich Świętych z całym dworem swoim, do czego i maluczkie dziatki należały. Następnie pani pobożna odmawiała pacierze kapłańskie z książki na ten cel dla niej na polski język przełożonej, po tem wszystkiem szła pieszo do kościoła, gdzie na przyniesionej pod płaszczem szczapie drzewa klęcząc, odprawiała zwykłe nabożeństwo. Za powrotem z kościoła najpierwszem zatrudnieniem było pani domu rozdawać jałmużnę ubóstwu ze skrzynki jedynie na ten cel przeznaczonej, albowiem wiara ich objawiała się miłosierdziem.

Codzień idąc na spoczynek, bogobojna pani czyniła rachunek sumienia, roztrząsając dzienne sprawy swoje, za winy serdecznie żałując i poprawę przyrzekając. Raz do roku albo więcej prababki nasze zamykały się na rekolekcyach w klasztorze, lub mieszkaniu na ten cel w pałacu, lub domach urządzanem. Niektóre co czwartek umywały nogi ubogim,

nawiedzając szpitale, gotowały w nich jeść i karmiły niedołężnych, opatrywały chorych. W domach zaś swoich wychowywały ubogie sieroty, z tych jedne posażąc, za mąż wydawały, drugie sposobiły na przykładne zakonnice. Ze szczególną troskliwością pobożne panie przestrzegały moralności domowników. W nieobecności mężów swoich bogobojne panie wiodły życie zakonne w miejscu na ten cel przy domowej kaplicy urządzonem. Częstokroć wdowami zostając, nie wchodziły już więcej w nowe związki, ale oblokłszy czarny ubiór, wytworne stroje składały na ozdoby ołtarzy Pańskich, i wyrzekając się tak dobrowolnie świata, poświęcały się modlitwom, postom i dobrym uczynkom.

Niekiedy też i młode dziewice nie wstępując do klasztoru,wyrzekały się świata.Przykład podobny zostawiła nam historya w Zuzannie Amenda, która przed biskupem w kościele Stej Barbary w Krakowie, wobec zebranego ludu i krewnych ślub podobny wykonała; poczem niesiono przed nią złotą koronę drogiemi kamieniami i perłami sadzoną, serce z czystego złota i pierścień ślubny z napisem: Chrystusowi nieśmiertelnemu Oblubieńcowi Zuzanna Amenda przez te znaki oddaje się na wieki, i te wszystkie upominki padłszy na kolana, na ołtarzu złożyła. Po śmierci swoich rodziców dziewica ta cały spadły na nią majątek przekazała na wykupno więźni i ratunek ubogich.

Również świątobliwe niewiasty Polskie pogardzały wystawą; przykład tego widzimy w Jadwidze Królowej, a żonie Władysława Jagiełły, owej rozkrzewicielce wiary świętej na Litwie, matce ubogich, która gdy mąż jej kazał bogato przybrać mieszkanie, rzekła:

Dawnom ja pompą światową i temi znikomemi ozdobami pogardziła, wolę się Bogu lichym upodobać sprzętem.

Mąż zaś pobożny jako pan przestrzegał ściśle, aby czeladka jego przy pokarmie cielesnym miała i pokarm duchowny. Chętnie dawał ubogim jałmużny, lecz nie pierwej ją udzielił, aż zapytał proszącego, czy umie się przeżegnać, czy umie pacierz, dziesięcioro Bożego przykazania i czy istotnie niezdolny do pracy.

W wielki czwartek szpitale nawiedzał, nogi ubogim umywał, lub we własnym domu tę posługę im czynił. Tak i król Polski Władysław Jagiełło co rok 12tu ubogim nogi umywał, darząc ich hojną jałmużną.

Pobożni mężowie przy stole zajmowali się rozmową z duchownymi. Na rekolekcyach zamykali się po klasztorach,a wyjeżdżając z domu na zjazdy lub wojnę, brali błogosławieństwo w kościele, bo wierzyli święcie w owe słowa pisma świętego: że nie w ilości wojska jest zwycięztwo, ale cała moc z nieba jest.

Mąż pobożny owdowiawszy, oblekał grube szaty, mieszkanie zaś pokrywał żałobą, ślubując nie żenić się więcej. Co miesiąc wstępował do grobu żony modlić się za jej duszę. Widząc się zaś bliskim śmierci, ubierał w świąteczne szaty i spowiadał, błagając ze skruchą na klęczkach spowiednika swego o odpuszczenie win przez życie popełnionych. Wielu też pobożnych mężów, jako i świątobliwych niewiast polskich kończyło życie przy klasztorach, gdzie obrawszy sobie schronienie, uchylali się od gwaru i złudzeń światowych. Wielu majątki swoje łożyli na budowanie kościołów; tak Piotr Dunin 77 na chwałę pańską wzniósł z ciosowego kamienia świątyń. Stanisław Lubomirski mąż wojenny, wojewoda Krakowski dwadzieścia zbudował kościołów; spełniwszy to mawiał:

Miałem się przedtem nieźle, jakom się począł dzielić z Bogiem fortuną, sam nie wiem, jak mi Bóg wszystko pomnaża.

Gorliwemi też obrońcami byli przodkowie nasi wiary świętej; umierając, zalecali synom swoim być jej wiernymi stróżami. Tak Jakób Sobieski kasztelan Krakowski ojciec Jana IIIgo dzielnego króla Polskiego, w testamencie temi słowy włożył ten obowiązek na dzieci swoje:

Potomstwo moje z urzędu mego obowiązuję i napominam, aby wiary i kościoła katolickiego rzymskiego i jego wolności, prerogatyw i honoru duchowieństwa, ile się poda okazya, radą, mową i ręką bronili.

Z poddaniem przodkowie nasi przyjmowali od Boga wszystko, czem ich tylko udarować raczył: z umiarkowaniem szczęście, troski z uległością,zpokorą upadek, bez dumy wyniosłość. Dowód ich wiary w wyroki Opatrzności i w pomoc niebieską zostawiły nam słowa Zygmunta

Igo, dzielnego króla i gorliwego chrześcianina, wyrażone w mowie do syna:

Nietajno jest synu mój, wyrzekł on, z jaką sławą tak długo panowałem. To wszystko Bogu Najwyższemu, któremu pilnie służyłem, zawdzięczam. Powinieneś temu wierzyć, że ani panowanie, ani jakie szczęście może być wcale, gdzie wiara upada albo słabieje.

Również praojcowie nasi jako i prababki dbałymi byli o ozdoby świątyń Pańskich; tak Leon Sapieha wojewoda Wileński i hetman, gdy spostrzegł gdziekolwiek podartą albę, albo ornat na księdzu, zaraz dawał mu nowe, mawiając:

Ja świeckim panem jestem krótkiego życia i honoru, a przecież ganię służeństwo moje, jeżeli który w oczach moich w bucie szpetnym stanie. Jakoż to bardziej i niegodna rzecz jest, w oczach króla nad królami nieochędożnie się pokazać.

Cały naród ze szczególnym zapałem modlił się do Najświętszej Panny; wyjątkowa cześć dla niej wszystkie polskie ożywiała serca. Pieśni na jej cześć składane z dnia brzaskiem codziennie wznosiły się ku niebiosom i wdalekie strony ulatywały po kroplistej rosie. Z pieśnią *Boga Rodzica* szło polskie rycerstwo do walki, z nieomylną nadzieją zwycięztwa. Sławni wodzowie jakimi byli: Chodkiewicz, Żółkiewski, Stefan Czarniecki i inni, z cudowną pieśnią na ustach wiedli szyki do bitwy. Przy każdym obozie obraz tej opiekunki narodu polskiego znajdować się musiał. Ze świętym obrazem szedł król Jan Sobieski pod Wiedeń na poskromienie hardego bisurmanina.

Dawni polacy zwiedzali miejsca słynne cudami, jakoto: Częstochowę, Sokal, Leżajsk, Skąpe, Gidle, szły doń pobożne panie we włosiennicach, z krzyżem na ramionach, krwawiąc bose nogi ostremi kamieniami. Odbywano pielgrzymki do Rzymu, Hiszpanii i Jerozolimy; z kijem w ręku jako ubogi żebrak, szedł w pobożnej pielgrzymce *Stanisław Kostka*, Bolesław Krzywousty pielgrzymował do grobu Sgo Idziego, Sgo Wojciecha w Gnieznie i Sgo Stefana w Węgrzech. Przemysław książe Raciborski co rok z zamku swego chodził do klasztoru Dominikanów w Raciborzu, niosąc w ofierze świętemu Stanisławowi świece woskową tak dużą, iż ją zaledwie mógł udźwignąć. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł pielgrzymował do Jerozolimy z księdzem Leonardem Pacyfikiem i dwunastu osobami dworu swojego. W taki to sposób dawni polacy szukali odpustów w popełnionych grzechach, lub błagali o łaski. Naprzeciw pobożnych pielgrzymów po drodze wybiegali mieszkańcy okolic przebywanych i zapraszali ich do domów swoich i kościołów. Przybywszy zaś pobożni na miejsca święte, na kolanach obchody jego czynili.

Posty ściśle przestrzegano w środy, piątki i soboty. W sobotę post zachowywano największy, raz na tydzień suchy chleb nieco skropiony piwem pożywano; piątki zaś suszono, wstrzymując się od picia wina. Byli i tacy, co całe życie mięsa nie jadali, poprzestając na maślnych potrawach i rybach. Za napój w czasie dni postnych używano przegotowanej wody. Post zaś wielki od chleba popiołem święconym posypanym zaczynano. Dzieciom lat 7 mającym z nabiałem w dnie postne jeść nie dozwalano i karcono w nich surowo wszelkie przekroczenia praw Boskich. Gdy Erazm Ciołek biskup Płocki przywiózł z Rzymu pozwolenie jadania mięsiw we środę, w całej Polsce nikt się nie znalazł, by z tego pozwolenia korzystał. Chłopki również gorliwi byli w służbie Bożej. O mil parę nieraz chodzić musiał do kościoła, a niczem się nie dał odwieść wieśniak, by we święto nie słuchał Mszy Świętej. W wilją Bożego Narodzenia nic nie pożywał, aż po zobaczeniu gwiazdki na niebie. Posty zachowywał ściśle, modlitwami oddawał się w opiekę SSych pańskich. Pościł i modlił się do Sgo Mikołaja, Jacka, Stanisława, Rocha, Apolonii. W morowem powietrzu uciekał do Sgo Sebastyana, w nędzy do Jana Jałmużnika, oddawał się nadto opiece Najświętszej Panny, ofiarowywał świece do ołtarzów i lampki, z pokorą i skruchą serdeczną uczęszczał do licznych kaplic.

Bóg zapłać!

(powieść z prawdziwego zdarzenia).

—

Na jednej z mniejszych ulic Warszawy, w szczupłej izbie na facyatce, w jednym ze słotnych dni listopada przy samem okienku siedziało młode dziewczę, ubogo lecz schludnie ubrane, zwracając z natężeniem oczy na cienki batyst rozpięty na krośnach

już zapełniony delikatnym haftem. Obok niej siedziała kobieta lat średnich, grubych i pospolitych rysów, równie pilnie zajęta robotą. Pierwszą z nich była Józefa Rzetelska, córka prywatnego oficyalisty, sierota od lat kilku, drugą zaś Agata Kawska, która z nią wspólnie mieszkała. Mrok tak wcześnie zapadający w tej smutnej porze roku zaczął już posępnym cieniem osłaniać to schronienie ubóstwa i pracy ku wielkiej boleści obudwóch kobiet, które spostrzegały z żalem, że już nie długo trzeba będzie zapalić świecę, aby przy niej kończyć rozpoczętą robotę.

— No! panno Józefo, ozwała się nareszcie p. Kawska, na ciebie dziś kolej kupić świecę, bo moja wczoraj do ostatka się wypaliła.

— Bez zaprzeczenia, kochana pani, odrzekła łagodnie dziewczyna, i wstawszy od roboty, stanęła przy małym stojącym w kącie kuferku, zkąd wydobywszy sakiewkę, rzekła z bolesnym uśmiechem: oto ostatnia dziesiątka, która mi pozostała z miesięcznego zarobku; pięć groszy wydam dziś na świecę, drugą piątkę trzeba schować na jutrzejsze śniadanie, a jak mi jutro nie oddadzą pieniędzy, to się będę musiała obejść bez obiadu. Szczęściem, że to piątek, dodała weselej, stojąc już w progu izdebki, z której wychodziła.

I któż jej winien, mruknęła pod nosem, zamknąwszy drzwi za odchodzącą, Kawska; byle dostała parę groszy, to zaraz rozdaje biednym, a to temu, a to tamtemu, a kiedy się spytać, to nawet się nie przyzna. Nic więc dziwnego, że się dorobić nie może, i zbliżyła się do komina, rozdmuchała kilka węgli, dołożyła garść wiorów, a przystawiwszy do ognia spory garnczek jakiejś znać z obiadu pozostałej strawy, poczęła się śpiesznie krzątać, aby przed powrotem Józi spożyć swoję wieczerzę; poczem starannie wygasiła tlejące zarzewie i z kawałem chleba zasiadła w oknie, spoglądając obojętnie na krople spadającego deszczu. Po niedługiej chwili Józia zziębła i przemoczona od deszczu ukazała się z pożądaną świecą.

—A już też prawdę powiedziawszy, siedziałaś panna z godzinę w mieście, jakbyś zapomniała, że i ja nie mogę siedzieć z założonemi rękoma, i tak nieraz człowiek przymrzeć głodu musi.

Temi słowy powitała wchodzącą nielitościwa kobieta. Józefa nie odpowiedziała ani słowa, spiesznie zajęła się umieszczeniem świecy w starym mosiężnym lichtarzu, poczem otworzyła drzwi, aby ją zapalić u sąsiadki obok nich mieszkającej. Lecz będąc już w sieni, zatrzymała się na chwilę pode drzwiami, gdyż zwnętrza izdebki doszedł jej uszów dźwięk przyspieszonej mowy mężczyzny i płaczliwy głos dobrze jej znanej starej paralityczki Magdaleny Utulskiej, która ją przeszło od roku zajmowała. Zrozumiawszy z kilku dosłyszanych wyrazów, że nielitościwy właściciel domu za zaległe od kilku miesięcy komorne chce zabierać resztę rzeczy nieszczęśliwej kobiety, Józia wiedziona litością, otworzyła drzwi z pośpiechem i stanęła nagle pomiędzy nimi. Oburzająca i smutna scena przedstawiła się oczom dziewczęcia: w kącie izby na brudnym sienniku, skurczona od zimna, siedziała stara kobieta, wyciągając wychudłe ręce w błagalnej postawie przed zuchwale stojącym przed nią gospodarzem domu, trzymającym pod pachą poduszkę dopiero co wyciągniętą z tego łoża nędzarki. W twarzy staruszki malowała się tak głęboka rozpacz, że poczciwa Józia zapomniawszy o celu swego przyjścia, ze łzami w oczach postąpiła kilka kroków i drżącym od gniewu głosem odezwała się do właściciela:

— Jakże pan możesz nachodzić mieszkanie osoby chorej i nieszczęśliwej, aby jej zabierać ostatnią poduszkę zpod głowy?

— Oto takiem prawem, moja panienko, odparł gniewnie, że ta pani już pięć miesięcy nie płaci mi komornego, a ja podatki płacić muszę i nie jestem bogaczem, abym mógł robić dobrodziejstwo.

— Ja za nią zapłacę, odpowiedziała śmiało Józia.

—No, a kiedy to będzie?zapytał,patrząc jej w oczy z niedowierzaniem, ale w tych oczach błyszczało tyle szlachetności i prawdy, że przejęty mimowolnym szacunkiem, cofnął się ku drzwiom, zdejmując czapkę. Józia tymczasem z anielską dobrocią zbliżywszy się do starej, otulała ją swoją wełnianą chustką, przemawiając do niej słowami prawdziwie chrześciańskiej miłości. W tej chwili chmurna twarz Kawskiej ukazała się we drzwiach; spostrzegłszy niezapaloną świecę, ze złością porwała lichtarz i mrucząc pod nosem, wyszła spiesznie, rzuciwszy gniewnem okiem na tę

wzruszającą scenę. Nie będziemy tu dalej opisywać szczegółowo szlachetnego postępowania Józi, dodamy tylko, że tego jeszcze wieczora nieszczęśliwa kobieta na usilne jej błaganie przeniesioną została do mieszkania Kawskiej, gdzie poczciwe dziewczę odstąpiwszy jej własnego łóżka, przepędziło noc całą nad robotą, czując teraz podwójną potrzebę pieniędzy, gdyż owa piątka przeznaczona na jutrzejszy posiłek, bez namysłu wydaną została na ziółka dla chorej. W ten sposób mijały dnie i tygodnie; po słotnym listopadzie nastąpił śnieżysty grudzień, a biedna Józia, co pomimo całej pilności, zaledwie zdołała wystarczyć wzrastającym potrzebom, nieraz ocierała gorzką łzę spływającą po zbladłej twarzyczce, na myśl o nadchodzącym nowym roku i owych kilkudziesięciu złotych, które tak wspaniałomyślnie obiecała wypłacić właścicielowi. Nie żałowała ona jednak swego poświęcenia, chociaż w zamian za swe trudy i starania otrzymywała jedynie przychylne spojrzenie staruszki, lub serdeczne *Bóg zapłać* ci moje dziecko; na co zwykle Kawska ruszając ramionami, odpowiadała z przekąsem:

— No! no! moja panno Józefo, lepiejbyś oto pomyślała, jak się prędzej pozbyć z mieszkania tej starej, bo cię na ostatnią biedę wykieruje. Wtedy biedne dziewczę błagalnem spojrzeniem zamykało usta samolubnej kobiecie, gdyż pomimo gnębiącego niedostatku, co dzień dziękowała Bogu, że jej dozwolił przelać na tę istotę cierpiącą i niedołężną, całą moc uczuć kochającej duszy, których od śmierci matki nie miała komu poświęcić. Zbliżył się jednak ów groźny termin; rano biedne dziewczę otuliwszy się salopką, zabrało złoty medalion z wyobrażeniem Matki Boskiej, jedyną pamiątkę po nieboszce matce, i oblawszy łzami dwakroć kosztowny klejnot, weszła do sklepu jubilera, celem zbycia swojej własności, ażeby za jego cenę wypłacić słuszną należność gospodarzowi domu. Rzetelny kupiec wprawnem okiem poznawszy wartość medalionu, bez namysłu wypłacił Józi odpowiednią summę, prosząc jedynie o wymienienie nazwiska i miejsca stałego zamieszkania. Z bijącem sercem weszła dziewczyna do mieszkania właściciela, gdzie w samych drzwiach spotkała się z nim. Ten uprzejmie ją pozdrowiwszy, wprowadził za sobą do drugiej stancyi, gdzie z wielkiem podziwieniem ujrzała damę czarno ubraną, miłych i uprzejmych rysów.

— Oto jest właśnie panienka, odezwał się z ukłonem izraelita, która najlepiej powie jaśnie pani, co porabia teraz Magdalena Utulska, bo ją wzięła na swoję opiekę.

Dama rzuciła przyjaznem okiem na zarumienioną Józię. Byłażbyś krewną tej poczciwej kobiety? zapytała z miłym uśmiechem.

— Nie pani, odrzekła Józia skromnie; jestem sierotą i nie mam żadnych krewnych w Warszawie.

— Sierotą i zapewne biedną? ciągnęła dalej dama.

— Nie jest się nigdy biedną, odparła z niejaką dumą dziewczyna, skoro się posiada młodość, zdrowie i chęć do pracy.

— Masz słuszność moje dziecię, rzekła dama, wyciągając rękę do mówiącej; wierz mi: jesteś bogatszą od wielu. Lecz zaprowadź mię do Magdaleny, jestto bowiem dawna sługa naszego domu, względem której mam wielkie obowiązki, i tylko długi pobyt zagranicą celem poratowania zdrowia mej zmarłej córki, stał się powodem tak smutnego zapomnienia. Józia bez zwłoki ukazała nieznajomej swoję ubogą siedzibę; lecz chcąc oszczędzić wzruszenia mogącego stać się zgubnem dla biednej Magdaleny, sama postąpiła naprzód i stanąwszy przy jej łóżku, z boleścią wpatrzyła się w jej zmienione rysy. Po chwili chora otworzyła oczy i z tkliwością ściskając wychudłą dłonią drobną rączkę Józi, rzekła osłabionym głosem:

— Moje dziecię, czuję, że Bóg ulitował się nademną i wkrótce powoła mnie do lepszego życia; cieszę się, że wreszcie przestanę ci być ciężarem. A teraz moja jedyna opiekunko na ziemi uczyń mi tę ostatnią łaskę i przyzwij kapłana, któryby mnie opatrzył Sakramentami na tę pożądaną drogę; raz jeszcze *Bóg ci zapłać!* stokrotnie za twoje trudy i poświęcenia. Józia płacząc, całowała ręce staruszki. Wtedy nieznajoma dama wyszła ze swego ukrycia i przystąpiła do łoża umierającej. Niepodobna opisać słodkiego wrażenia, jakie jej widok sprawił na Magdalenie, która konającemi usty błogosławiła Boga za tę ostatnią pociechę. W parę dni potem z Kościoła OO. Reformatów wynoszono

zwłoki Magdaleny; dwukonny karawan potoczył się zwolna po bruku, a cnotliwa Józia postępując za tym skromnym pogrzebem, myślała z boleścią, jak samotnem wyda się jej teraz owo mieszkanie, gdzie już nikomu nie będzie potrzebna. Inaczej jednak zrządziła Opatrzność, gdyż wracając od grobu Utulskiej, spotkała jej dawną panią, która ujęta anielskim charakterem sieroty, zaklęła ją na świętą pamięć rodziców, aby przyjąwszy mieszkanie w jej domu, była osłodą jej matczynego sieroctwa. Józia nie odrzuciła ofiary zacnej pani, a znalazłszy przy niej dobry byt i opiekę, nie omijała żadnej sposobności dla uszczęśliwiania nędznych i opuszczonych. Niejedno jeszcze *Bóg zapłać* spłynęło na głowę Józi, a samolubna Kawska patrząc na jej szczęście, przekonała się nakoniec, że zapłata u Boga, jest najpewniejszą zapłatą, bo ją każdy czyn zły lub dobry, w tem, lub przyszłem życiu niezawodnie otrzyma.

Godziny po robocie.

V.

Rok, w którym się odbywały znane odwiedziny u p. Dorosza, był rokiem ogólnego nieurodzaju. Drożyzna zboża sprawiła, iż właściciele fabryk zmuszeni byli rozpuścić znaczną liczbę rzemieślników, a niektórzy nawet zamknąć swe warsztaty. Tak się stało w Kalinówce. Właściciele kuźni zostali pierwsi dotknięci tą klęską, i tylko małej liczbie rzemieślników zarobek u siebie dać mogli. Okoliczność ta, aczkolwiek przewidziana, rzuciła postrach pomiędzy czeladzią rzemieślniczą.

— Otóż to W. Panie, odezwał się na pierwszem zebraniu u Dorosza, Klepacz kowal z Kalinówki, takie są dobrodziejstwa, które społeczeństwo ludzkie dać może dla nas biednych pracowników. Właściciele kuźni zamawiają nas do roboty, osiedlają w jednem miejscu, a kiedy nie spodziewają się z nas wyrachowanych naprzód korzyści, rzucają na biedę i nie chcą o nas wiedzieć.

— Powiedz mi mój Klepaczu, odrzekł na to doktor, kiedyś obierał zawód kowala, czy kto zaciągał względem ciebie obowiązek utrzymywania cię w swej kuźni?

— Nie, W. dziedzicu.

— Więc obrałeś sobie ten zawód zapewnie dlatego, żeś widział innych kowali zarabiających sobie grosz dobry i pewny, a ponieważ masz dzielne ramię, sądziłeś, że i ty podobnie zapracować zdołasz.

— A jużci nieinaczej, proszę W. pana.

— Na kogóż się zatem żalisz? wszak nikt ci nie dawał przyrzeczenia, ani ci go nikt względem ciebie nie pogwałcił.

— To prawda; jednak jeżeli komu braknie zarobku i zostanie bez kawałka chleba, to bardzo smutne położenie.

— Zgadzam się z tobą mój przyjacielu, ale nie masz racyi być niesprawiedliwym względem innych. Powiedz mi, czy ci wyświadczył usługę twój pryncypał, kiedy ci dawał robotę w swej fabryce?

— A wyświadczył, ale mię niczem nie zobowiązał; potrzebował robotnika w owym czasie i wziął mnie, jak każdego innego.

— Więc i tyś mu żadnej łaski nie zrobił, idąc do jego warsztatu; potrzebowałeś roboty i szukałeś jej u niego, on potrzebował rzemieślnika i ugodził ciebie. Ty pracowałeś dla niego, a on za to zapłacił; a więc kwita między wami, i żaden z was nie ma powodu wyrzekania na drugiego.

— Może to i prawda; ale bądź co bądź urządzenie takie roboty jest niedobre, bo ludzie tylko myślą o sobie jako samoluby, i lepiej żyć w lesie, jak pomiędzy nimi.

— Klepacz ma wielką racyą, odezwał się Szlej, i jeżeli tam człowiekowi i wypadają jakie korzyści z tego, że żyje między ludźmi, to też i niemałe krzywdy z tego samego źródła dla niego przychodzą.

— Prawda, przerwał Dorosz, że każda rzecz ma dwie strony: dobrą i złą; tak samo i społeczność nasza. Składa się ona z ludzi dobrych jak złych, bogatych jak ubogich, z wyrobników i właścicieli, więc też nie może być doskonałą i bez żadnego *ale*.

Wchodzą bowiem do tego społeczeństwa ludzie ze swemi namiętnościami, i społeczeństwo samo zatem nie jést od nich wolne. Ale rozbierając rzeczy bliżej, powiedzcie mi, jakie np. krzywdy dla was płyną z tego, że żyjecie w społeczeństwie?

— Bardzo łatwo, mówił Szlej w dalszym ciągu. Gromadzenie się ludzi w społeczeństwo, przez zetknięcie się z sobą psuje ich,

rozwija występki i zbrodnie. Gdyby nie było społeczeństwa, nie byłoby kradzieży, oszustw i t. p.

— To prawda, nie możnaby było krzywdzić sąsiada, któregobyś nie miał, i tam gdzieby nie było co ukraść, nie byłoby złodzieja. Ale to mogłoby się stać tylko wtedy, gdyby ludzie żyli jak dzicy. Że się spotykają występki i zbrodnie między ludźmi, to nie winno temu życie gromadne czyli społeczeńskie, ale złe namiętności i zła natura człowieka. Kaim zabił Abla brata swego, jak Pismo święte naucza, chociaż ich tylko było dwóch na świecie. Owszem w stanie dzikim, czyli w stanie odludnego życia człowieka, namiętności jego były złośliwsze i dziksze; nieraz ojciec pożerał własne dziecko.

— Ale ja chciałem tylko powiedzieć, odezwał się Szlej, że gromadzenie się ludzi daje częstszą sposobność do złego.

— Zaraz, zaraz, pozwól mi dokończyć. Z rozmnożeniem się ludzi na jednem miejscu, pomnażają się i dostatki, wygody a nawet bogactwa, bo człowiek każdy dąży do tego, aby mu coraz lepiej było. A zatem i kradzież np. między ludźmi społecznymi, z których każdy coś posiada, jest rzadszą, aniżeli tam, gdzie jak w stanie odludnym, nikt prawie nic nie miał, a przynajmniej z trudnością nabywał i musiał drugiemu zabierać. Zresztą i kradzież ta w społeczeństwie, gdzie prawa i władze czuwają, zniewolona się ukrywać, nie jest tak śmiałą, jak pomiędzy ludźmi żyjącymi bez społeczeństw, dziko, gdzie zbrojną ręką jeden drugiemu przemocą wydzierał.

— Ale za to każdy żyjąc osobno, przerwał nagle Szlej, miał się lepiej i miał więcej swobody towarzyskiej.

— Mój kochany, weź tylko pierwszą lepszą książkę napisaną przez ludzi, którzy zwiedzali kraje i dziś jeszcze dzikie, gdzie ludzie żyją luzem jak niedźwiedzie samotne, a zobaczysz, co się tam dzieje. Mieszkaniec tamtejszy za schronienie ma budę z gałęzi, którą wiatr przewiewa, a deszcz przemacza, za łoże nagą ziemię, lub trochę barłogu z liści, za odzież kilka lichych płatków, za całe bogactwo łuk i strzałę, za nóż muszlę ostrą, za siekierę krzemień chropowaty. Pożywieniem jego surowa ryba, albo ptak ubity, które dziś ma, a jutro może ich nie spotkać. A cóż za swobodę mają ci ludzie? chyba tę, że mogą z głodu umrzeć, mogą być obdarci, złupieni i pozbawieni życia bezkarnie, że nie spotykają nigdzie przyjaznego oka, ani braterskiej dłoni, któreby ich w biedzie i samotności podparły i pocieszyły. Nie mówię już o tym skarbie i rozkoszy, jakie daje światło religii i nauki rozwinięte w społeczeństwie dobrze urządzonem.

— Może to i prawda, jednak ludzie nim się w społeczeństwa pozbierali, więcej jakoś byli pomiędzy sobą równi; nie było tam, jak opisują, (tu Szlej obejrzał się naokoło, jakby chciał powiedzieć gromadzie, że on taki mądry, bo tak dużo czytuje) ani takich bogaczy, ani takiego ubóstwa, jak się potem potworzyły.

— Odpowiedz mi proszę, czy i pomiędzy ludźmi dzikimi wszyscy rodzą się jednakowo silni, jednakowo zręczni i jednakowo pojętni? Czyż to społeczeństwo winno, że jeden jest mocniejszy, drugi słabszy, ów czynniejszy i pracowitszy, a tamten gapa i do niczego? czyż to społeczeństwo sprawia, że jeden jest zdrowy, a drugi chory? O! nie, nie. Więc nierówność jest w samej naturze, a nie jest w cale skutkiem urządzenia się ludzi w społeczeństwa. Owszem społeczność ludzka zmniejsza tę nierówność pomiędzy nami, bo daje każdemu sposób podniesienia swych zdolności i pracy. Społeczeństwo to urządza szpitale dla chorych, przytułki dla biednych i sierot, kassy oszczędności, towarzystwa podupadłych dla wzajemnego się dźwigania, szkoły dla młodzieży, w których każdy może się uczyć, sposobić, do czego ma chęci i zdolności i przez to zyskać na świecie los lepszy; a toć to wszystko właśnie zmierza do tego, aby ludzie równać się między sobą mogli.

— To dobrze, odezwał się Bonek gospodarz rolny, ale wprzód ludzie tamci mieli równe prawo do tego wszystkiego, co ziemia wydawała.

— Mój poczciwy Bonku, nie zazdrościłbym ci tego dobrego; mieli oni jednakowe prawo zabierać to, co ziemia rodziła; ale cóż rodziła? Oto zielska, oto dzikie, kwaśne i trujące owoce; mieli też prawo do zwierzyny w kniejach lasów żyjącej i dzikich ptaków, za któremi musiał się każdy wieszać po skałach i urwiskach, ale nie do zboża, którego bez pracy i znoju ludzkiego być nie może. A prawda, zapomniałem; gdybyś mój Bonku żył w owych

czasach i miejscach, tobyś oto zamiast twego przyodziewku mógł się jeszcze bezpłatnie ustroić w jakie liście ogromne, albo w skórę zdartą z dzikiego zwierza.

— A toby galanto wyglądali, odezwano się ze śmiechem gromadnie!

— Ej! dajcie pokój żartom, zawołał Klepacz kowal, bo tu idzie o rzecz. Oto proszę wielmożnego pana, mówił, jest wielka racya w tem, co nam W. dziedzic rozpowiada, ale i to także prawda, że chociaż biednemu lepiej pomiędzy ludźmi żyjącymi w społeczeństwie, aniżeli tam gdzieś między dzikimi, to jednak bogatszym zawsze lepiej i tam było i jest między nami.

— Bogactwo, bogactwo, moi kochani, powtarzacie wszyscy i wzdychacie do niego, a przecież być bogatym, to po większej części od nas zależy. Praca i oszczędność do dobrego bytu prowadzą, i na to trzeba pracować od rodzica do syna i wnuka. Mój dziad np. jak tu wielu jeszcze pamięta, był cząstkowym właścicielem w Kalinówce; przez pracę i oszczędność zebrał coś dla swych dzieci. Ojciec mój poszedł w jego ślady, a ja dorobiłem, co mogłem, i oto z łaski Boga mam więcej od dziada i ojca mojego. Takich przykładów znaleśćby można więcej i pomiędzy wami.

Ale to tylko ustępem wam na to odpowiadam, bo Klepacz wtrącił takie pytanie; odkładam to do obszerniejszej pogadanki, a teraz chcę dokończyć, com zaczął.

Społeczeństwo więc rozwija w człowieku wszystkie jego zdolności i najróżnorodniejsze siły tak duszy, jak i ciała, użytkuje je i wynagradza, niejednakowo wprawdzie, lecz w stosunku do ich wartości. Ty masz siłę większą, jesteś kowalem, bijesz młotem i z tego żyjesz, ty znowu mniej silny, robisz igłą i z głodu nie umrzesz i t. d. Pomiędzy ludźmi dzikimi tylko moc ręki dawała pierwszeństwo i bogactwa; kto mocniejszy, ten lepszy. W społeczeństwie nietylko moc ręki, ale dzielność pracy, zdolność, uczciwość daje mu mir i chleb u świata. Każdy znajduje w społeczeństwie zajęcie odpowiednie swej sile i usposobieniu, i tym sposobem społeczność ludzka nierówność sił zdolności i talentów istniejących w naturze usuwa i zrównoważa. Kochajmy się zatem wszyscy jako bracia i członkowie jednej wielkiej społeczności, od której wszystko mamy.

Na tem skończyła się dzisiejsza rozmowa i rozeszli się wszyscy do domów, gwarząc jeszcze w drodze o tem, co słyszeli u doktora.

OMYŁKA.

W zakładzie drukarskim przy ulicy Krakowskie-Przedmieście rozpoczęła się rano w poniedziałek tygodniowa robota. Towarzysze sztuki drukarskiej i uczniowie wesoło między sobą rozmawiali, opowiadając sobie nawzajem wypadki dnia poprzedniego. Kiedyniekiedy dowcip którego z pracującej braci przerwał ogólną pogawędkę, wzniecając śmiech powszechny.

Wtem wbiega Wicuś uczeń drukarski i woła:

— Adaś, do kantoru, pan cię potrzebuje.

— Oho! dostaniesz po uszach, odezwał się któryś za odchodzącym uczniem; skrewił coś, jak Bóg w niebie.

I w mgnieniu oka wezwany stanął przed pryncypałem.

— Mówiłem ci tyle razy: uważaj dobrze i wykonywaj ściśle korrekty, a ty...

— Proszę pana, staram się ile mogę, aby dokładnie poprawki dopełniać.

— Tak, a oto nowe pomyłki; jużem ci miał dawno to wypomnieć... np. w Czytelni Niedzielnej nr 13, w artykule o *Jedwabnictwie* na stronnicy 100 (w wierszu 5, szpalta 1sza) po wyrazie *jajeczko* opuściłeś słowo: *przylepia*; po wyrażeniu (wiersz 5 szpalta 1): *im materya jest gładsza*, powinno być: *tem łatwiéj jest jéj przylepić swe jajeczko*, w wierszu 11 zamiast: *tak sama izba*, należało wydrukować: *taż* sama izba; na stronnicy 101, szpalta 1sza, w wierszu 38 zamiast: *spiąwszy je zarazem*, ma być *razem*.

— Proszę pana, ja nie wiem, ale...

— Ale... dokończył pryncypał, ale uważaj na drugi raz i ucz się odmłodu ścisłości w pracy.

Adaś wrócił, koledzy za wejściem przywitali go śmiechem i zapytaniami, z odpowiedzi zaś Adasia dowiedzieli się o tem, że nie dosyć jest wyznaczoną pracę odrobić, ale ją dokładnie odrobić trzeba.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa d. 7 (19) lipca 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*